

Skąpski, Bohdan

Początki "Życia Warszawy", "Stolicy" i "Kalendarza Warszawskiego"

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 10/2, 243-257

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BOHDAN SKĄPSKI

POCZĄTKI „ŻYCIA WARSZAWY”, „STOLICY” I „KALENDARZA
WARSZAWSKIEGO”

Trzy dni po odzyskaniu wolności udaliśmy się z żoną na ul. Kijowską na Pradze, aby dla naszej paromiesięcznej córki zdobyć wreszcie po wielu tygodniach postu odrobinę świeżego mleka. I wtedy właśnie, kiedy staliśmy we czworo: właścicielka krowy, jej parobek, żona i ja w drzwiach obory i odmierzaliśmy biały pożywny płyn, coś zazgrzytało. Nim zdążyłem się obrócić, żeby uciec przed spodziewanym uderzeniem pocisku, straciłem przytomność. Obudziłem się może po godzinie, może wcześniej, może później, nie pamiętam, pod kupą desek. Było ciemno, zobaczyłem, że ktoś siedzi przede mną na szczątkach zburzonej obory. Potem poszliśmy z żoną boso i w poszarpanych szatkach, bez nakrycia głowy, do najbliższego szpitala przy ul. Sierakowskiego, lekceważąc już sobie zupełnie odbywający się właśnie nalot. Z obandażowanymi głowami przyszliśmy o dziewiątej wieczorem do domu, do zaniepokojonej rodziny. Dwa tygodnie trzeba było jeszcze przeleżeć, żeby wrócić do jakiejś takiej formy. Wkrótce potem zameldowałem się w dawnej dyrekcji kolejowej przy ul. Wileńskiej, róg Targowej, w Wydziale Propagandy. Młody czarnowłosy kapitan z uprzejmym uśmiechem przyjął moje zgłoszenie do pracy w zawodzie dziennikarskim i całkowicie zbagatelizował moje szczere wyznanie, że gazeta, w której przed wojną pracowałem, była organem rządowym, sanacyjnym. — Nas to nie obchodzi. Co było, minęło. Chcecie pracować, możecie brać się do roboty.

I tak się to zaczęło. Naprzeciwko, na podwórzu przy ul. Wileńskiej, stał ciężarowy samochód z ruchomą drukarnią, na której drukowało się

Bohdan Skąpski urodził się 5 III 1908 r. W latach 1930—1939 pracował w warszawskiej redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, od 1944 r. w „Życiu Warszawy”, w r. 1945 prowadził referat prasowy BOS; w latach 1946—1956 pracował w redakcji „Stolicy”, potem był redaktorem w NOT, szefem produkcji w Biurze Wyd. „Ruch”. Obecnie jest pracownikiem Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego (WAG).

na niebieskim papierze „Biuletyn Informacyjny”¹. W jednym z mieszkań w tym domu dwóch młodych oficerów spełniało pod nadzorem por. Wiktora Borowskiego funkcje redaktorów. Byli to Arnold Słucki i — o ile pamiętam — Krzysztof Gruszczyński.

W jednym z pokoiów dyrekcji kolejowej, skąd nas jeszcze nie przepędziły pociski niemieckie wysyłane z tamtej strony Wisły, próbowałem zorganizować redakcję przyszłej gazety. Za pośrednictwem „Biuletynu”, z którym nawiązałem zaraz kontakt, poganiany przez por. Borowskiego, który pragnął zwolnić odkomenderowanych oficerów z obowiązku parania się dziennikarstwem, dałem kilka razy ogłoszenie, że poszukujemy młodych ludzi mających zamiłowanie i zdolności do pracy dziennikarskiej. Zgłosiła się tylko jedna panienska, osiemnastoletnia, świeżo upieczona maturzystka. Owszem, sympatyczna dziewczyna. Ale to zauważyłem niejako na marginesie, ważniejsze było wówczas dla mnie, choć miałem wtedy tylko trzydzieści siedem lat, czy z panienki uda mi się zrobić dziennikarza, czy nie.

Okazało się, że nadaje się do tej pracy. Ale trudno było na razie myśleć o zaangażowaniu jej, dopóki gazeta istniała jedynie w wyobraźni swojego założyciela.

Nie widziałem się nawet ze swoim najwyższym zwierzchnikiem płk. Marianem Spychalskim, ówczesnym prezydentem miasta, czy — jak to się wtedy już nazywało — przewodniczącym Rady Narodowej. Pewnego dnia zostałem do niego wezwany, ale nie chodziło jeszcze o gazetę, lecz o zabezpieczenie projektów związanych z odbudową Warszawy w mieszkaniu prof. Lecha Niemojewskiego przy ostrzeliwanej ul. Katowickiej.

*

W październiku mój szef zapytał:

— No co, podobno chcecie robić gazetę?

— Chcę.

— No to róbcie.

Krótko i zwięźle! Wziąłem się więc już teraz energiczniej do dzieła. Około 9 października przyszedł adiutant pułkownika.

— No i kiedy chcecie tę gazetę wydać?

— Na razie nic nie mam: ani ludzi, ani drukarni, ani papieru.

— A co mnie to obchodzi. Jesteście dziennikarzem?

— Jestem.

¹ „Biuletyn Informacyjny” — od 19 X 1944 r. „Biuletyn Praski”. Pierwszy powojenny periodyk warszawski wydawany na Prądze od 21 IX 1944 r. przez Komendę m. st. Warszawy.

— Pułkownik chce mieć w niedzielę pierwszy numer na biurku!

— Jak chce, to będzie miał.

Był wtorek, południe. Cztery dni na wydanie numeru, kiedy się nic nie ma, to nie jest znowu tak dużo. Ktoś mi powiedział, że przy ul. Grochowskiej w piwnicy działa jakaś mała drukarenka. Poszedłem. Rzeczywiście działała.

Powiedziałem drukarzom: dostaniecie co tydzień puszkę „tuszonki”, no i co tam się jeszcze uda dla was zdobyć. Od tej chwili jesteście drukarnią miejską, a ja jestem waszym szefem. Zaczynamy. Zróbcie tu jaki taki ład, pokończcie, coście pozaczynali i przyszykujcie się na parę dni dobrej harówki. Na razie poza wami i waszymi gratami, nic nie ma. Redakcja pisma — to ja i jedna dziewczynka, może będzie dwóch chłopaków maturzystów, może jeszcze ktoś z umiejących pisać urzędników... Najważniejsze, że zaczęliśmy. Ja tu jutro przyjdę i przyniosę pierwsze rękopisy. Zorganizujcie się tak, żebyście nie nawalili.

Przyszedłem nazajutrz, zostawiłem manuskrypty, które ktoś mi po drodze w biurze na korytarzu podrzucił. Temat dostałem interesujący: możliwości produkcji i pracy. Ten temat był dla każdego sprawą najważniejszą. Kończyła się wojna, choć naprawdę to wcale tak nie było, bo Niemcy z tamtej strony Wisły grzali nadal, ile się dało. Ich wywiad też jeszcze działał. W dniu, kiedy wychodził pierwszy numer „Życia Warszawy”, 15 października, dostaliśmy prezent — serię pocisków — i pod samymi drzwiami drukarni wylądował odłamek, który mógł słonia ściąć z nóg, a nie takie chuchro, jak założyciela pierwszego dziennika w stolicy Polski Ludowej, mieszczącej się na Pradze.

Mordowaliśmy się cztery dni i cztery noce, żeby gazeta się narodziła. W nocy z soboty na niedzielę, koło godziny pierwszej po północy, pięty mnie tak bolały, że stać nie mogłem; wreszcie upadłem nosem na pierwszą wiązaną kolumnę. Jaka to też była kolumna?! Trzy szpalty na trzy i pół kwadrata, ręcznie złożone, zalane wodą, żeby się nie sypały i związane sznurkiem. Ale pierwsza kolumna gotowa! Artykuł wstępny i depesze. Tytuł wyciął z blachy cynkowej jeden z pracowników, który parał się chemografią. O trawieniu nie było mowy! Wyciął więc laubzega, ale wzór trzeba mu było ołówkiem wyrysować na kolanie, bo ani biurka, ani stołu, poza stołem metramparskim, nie było. Artykuł wstępny pisało się o jedenastej przed północą, po trzech nieprzespanych dobach. Nie jadło się też, jak trzeba, a o domu, rodzinie i całym Bożym świecie zapomniałem na śmierć. Jedno było ważne: gazeta, nowy, pierwszy w moim życiu własnoręcznie zakładany dziennik, i to w takich warunkach! To była przygoda, to była wielka przygoda, to była największa zawodowa przygoda w moim życiu. Stąd siły, zapał, lekceważenie wszystkiego, co nie było związane z tymi narodzinami. Drukowało się na jednym arkuszu,

ale przepuszczanym przez nożny pedał cztery razy. Koło godziny piątej nad ranem, kiedy kończyliśmy druk pierwszej kolumny, tytułowej, i sam deptałem pedał, bo cały zespół gdzieś mi się zawieruszył, dumny z tych narodzin, trochę się zdrzemnąłem i maszyna nie poruszana „nożnym” motorem ucichła. Obudzili mnie moi współpracownicy:

— Panie redaktorze, odwiecznym zwyczajem drukarskim uczciliśmy tę historyczną chwilę i wręczamy panu jako redaktorowi i założycielowi pisma, pierwszego w nowej Warszawie, złoty numer! Zatkano mnie!

Poszliśmy do okna i na parapecie po kolei cała czwórka podpisała się na tym egzemplarzu: W dniu narodzin nowej gazety — tu nastąpiły cztery nazwiska: metrampaż Gradowski; introligator Karpiński; maszynista Basiński; zecer Jan Dołowski. Drugi złoty numer otrzymałem dla doręczenia pułkownikowi w oznaczonym terminie „na ratuszu”. Do jedenaściej przed południem w niedzielę 15 października wszystkie cztery kolumny były wydrukowane. Wskoczyłem na motor i pojechałem do gabinetu pułkownika Spychalskiego. Punkt dwunasta zameldowałem:

— Panie pułkowniku! Melduję narodziny pierwszej nowej gazety w wolnej Warszawie, na Pradze!

— Dziękuję wam!

Parę uwag, trochę zachęty do dalszego wysiłku i cześć! Wskoczyłem na chwilę do domu, pokazałem rodzinie swoje dzieło i zaraz po obiedzie pojechałem do drukarni, bo trzeba było robić numer drugi. No, a po to, żeby go zrobić, trzeba było najpierw pierwszy rozebrać, bo czionek mieliśmy tylko na jeden numer. Nakład tymczasem poszedł na miasto. „Życie Warszawy” rozpoczęło swoją służbę.

„Życie Warszawy”. Dlaczego „Życie”? Dużo było gadania na ten temat. Rozprawiali głównie politycy, a nie fachowcy-dziennikarze, bo takich było tylko dwóch. Drugim był Antoni Pisarski, reporter przedwojennej PAT². Był wówczas reporterem Polpressu³, oficjalnej agencji w Lublinie, ale grasował głównie na Pradze i przesiadywał w drukarni „Życia”, choć częściej można go było spotkać obok Bieruta. Był zawsze bardzo blisko Prezydenta. Stąd powstał nawet taki dowcip: pokazują kiedyś Bierutowi nowe zdjęcie, portret.

— To nie jestem ja.

— Jak to, towarzyszu Prezydencie, przecież...

— Nie widzę koło swojej głowy łow. Pisarskiego...

Otóż tytuł „Życie Warszawy” wydawał się ludziom z partii za towarzyski, za ekskluzywny: według nich nadawał się bardziej dla tygod-

² Polska Agencja Telegraficzna — oficjalna polska agencja informacyjna działająca w latach 1918—1939 w Warszawie, a następnie na emigracji (Paryż, Londyn).

³ Polpress — początkowa nazwa Polskiej Agencji Prasowej założonej w lipcu 1944 r. w Lublinie.

nika. Może! Dla mnie był dobry i jedyny. Po tamtej stronie Wisły Warszawa ginęła, umierała. Codziennie widać było z okien praskich mieszkań nowe słupy dymu. To specjalne oddziały ogniowe Wehrmachtu chodziły ulicami od domu do domu i zapalały stojące jeszcze domy. Warszawa płonęła jak zagiew. Wiedzieliśmy, że to ostatnie chwile, że setki, tysiące, dziesiątki tysięcy cennych przedmiotów i pamiątek spala się w ogniu, a miasto zgodnie z rozkazem Hitlera ma być „dem Erdboden gleich gemacht!” Ma być zrównane z ziemią. Nie zrównali. Nie mogli tego dokonać, nie zdążyli... Ale ja widziałem każdego ranka, nim poszedłem do swojego biura, jak coraz to nowe dymy wznosiły się w górę. I któregoś dnia powiedziałem sobie: „Życie Warszawy”, życie w Warszawie nie może zginąć. Będzie „Życie Warszawy”! Bronilem tego tytułu jak lew i obroniłem.

Chłopcy porwali pierwsze półtora tysiąca egzemplarzy i polecili na ulice Pragi, wołając donośnie: „Życie Warszaaaaa”, Życie Warszaaaaa”!

A potem wróciłem w niedzielę po południu do mojej gromadki i zacząłem przygotowywać nowe materiały. Moi koledzy drukarze zaczęli rozbierać gazetę na małe, stłuczone, wysłużone czcionki, świeżo pomazane drukarską farbą. Wieczorem zaczęliśmy robić drugi numer. Tamten już poszedł w świat, zbudził nadzieję u niejednych, rozerwał innych, zaciekawiał i przestał być ważny. Za parę godzin umrze. Do tego czasu musi być następca. Gazeta żyje od numeru do numeru. Dlatego, tak jak w sercu, musi być stałe krążenie, stały dopływ nowej krwi. Każdy następny numer przedłuża życie dziennika, a raczej utrzymuje go przy życiu. Co dzień na nowo, co dzień inaczej.

Zaczął się więc znużony, uciążliwy, wielotygodniowy, szary, codzienny trud. Do drukarni zaczęli napływać wracając z wygnania zecerzy, drukarze z oswobodzonych więzień i obozów z zesłań na roboty. W ciągu paru tygodni było ich około 150. Tam, w tej piwnicy przy Grochowskiej, odrodził się pierwszy po wojnie Związek Zawodowy Drukarzy.

Po tygodniu mieliśmy pierwszą wizytę członków Warszawskiego Komitetu PPR. Dużo było pretensji, zastrzeżeń. Ja byłem za to odpowiedzialny, mimo że codziennie z numerem pędziłem na motorze wzdłuż Targowej — ówczesnej pierwszej linii frontu — do prezydenta miasta. Trudno było w kilkuminutowej rozmowie na wszystko zwrócić uwagę, wszystko dostrzec.

Wkrótce spotkaliśmy się z Borowskim. Mały spacer wieczorem po ulicy Grochowskiej dobrze mi zrobił.

Powiedziałem mu, że w Partii mają do mnie pretensje, że nie jest, jak trzeba. Ja na to nic nie mogłem poradzić. Pracuję, jak umiem. Więcej z siebie nie dam, bo daję wszystko. Przyjdźcie, weźcie się za politykę, myślę, że dacie sobie z tym radę. Bronił się. Tłumaczył, że nie jest

dziennikarzem, że ma trudności, że nie chce, że przecież miał już dużo kłopotu z „Biuletynem”, dlatego napierał, żeby powstała normalna gazeta itd.

Nie ustępowałem. Powiedziałem, że umiem robić gazetę, ale na polityce się nie znam. Po dłuższej wymianie zdań stanęło na tym, że por. Borowski, który i tak pełnił wówczas funkcję cenzora, wejdzie do redakcji na stanowisko redaktora politycznego, a ja będę się zajmował wszystkim innym.

Zespół redakcyjny składał się z Janki Piotrowskiej, Edwarda Tryjarskiego, Zygmunta Broniarka, Antoniego Pisarskiego i później Halszki Duninówny. Komendę nad nimi objął porucznik Borowski. Ja nie wysuwałem nosa poza drukarnię. Jako technicznego do pomocy dostałem starego Dunina, ojca Halszki.

Nazajutrz, po wydaniu pierwszego numeru zorientowałem się, że „na pedale” daleko nie zajedziemy. Jeżeli uda nam się przy najsprawniejszej organizacji pracy wytłuc na tym gracie 2000 egzemplarzy czwórki A3, to będzie wszystko. A na 100 000 mieszkańców, których liczba wzrastała z każdym dniem, to było mało. Musieliśmy więc myśleć o uruchomieniu maszyny płaskiej, „kieratówki”. Była taka, ale nie miała napędu. Wiadomo — prądu nie było. Poszedłem do Rady Narodowej. Rozmawiałem z wiceprzewodniczącym.

— Potrzebuję na stałe ciężarówkę. Przepraszam, nie na stałe, na noc.

— A po co wam ciężarówka?

— Połączę ją z kołem rozpędowym i uruchomimy w ten sposób maszynę drukarską. Na pedale niewiele się wydrukuje.

— Ciężarówkę wam nie dam, bo nie mam. A tych niewiele maszyn, które mamy do dyspozycji, to nic nie jest. Żadna nie może pracować na okrągło.

— Maszyna nie może, a człowiek musi!

— Człowiek musi. Szukajcie innego rozwiązania.

Zaczęliśmy szukać rozwiązania, aż znaleźliśmy wymontowany motor samochodu ciężarowego. Nie na Pradze, gdzieś pod Mińskiem.

Tymczasem trzeba było rozwiązać sprawę inaczej. Zaproponowałem kilku nie mającym jeszcze zatrudnienia, mocniejszym chłopakom nocną pracę w drukarni za puszkę „tuszonki” (to była wtedy najmocniejsza waluta). Mieli po dwóch, co piętnaście minut, ręcznie obracać koło napędowe płaskiej maszyny. W efekcie dawało to w ciągu nocy, czyli po 8 godzinach, około 2000 egzemplarzy, a przy podwojeniu — 4000 dziennie. Co ważniejsze, drukowało się całą czwórkę, a nie, jak na pedale, cztery razy po jednej kolumnie. Teoretycznie można było tym systemem osiągnąć przy pełnej sprawności mięśni około 5000 egzemplarzy dziennego nakładu. Gdyby było więcej czcionek, maszyna mogłaby obracać się tak jak

redaktor — 24 godziny. Ponieważ jednak zdobycie większej ilości czcionek w tamtych dniach było marzeniem ściętej głowy, tłukliśmy te 3000—4000. To była straszna mordęga, ale gazeta wychodziła. Codziennie! Nieregularnie, ale była! Marzyłem o motorze, śniły mi się motory, całe szeregi motorów, w ciągu tych 15-minutowych drzemek, z których co chwila mnie wrywanó. Pod koniec tygodnia znalazł się jakiś motor, zakopany gdzieś pod Mińskiem. Chłopaki spisali się dobrze. Ustawiliśmy go przy drugiej maszynie płaskiej, znalazł się jakiś fachowiec, który w mig przejrzał go, oprawił, postawił na odpowiednim fundamencie, nalał benzyny i motor zaczął warczeć. To była wspaniała muzyka! Czy tylko pociągnie tego gruchota? Pociągnął. Po paru godzinach słuchania luźno lecącego motoru i wdychania benzynowego smrodu, dał się słyszeć nowy dźwięk, nareszcie maszyna ruszyła.

Teraz już operowaliśmy cyframi 10 000—12 000 egzemplarzy. Z papierem był nadal kłopot, farbę trzeba było zdobywać, ale jakoś to wszystko szło.

Czas wychodzenia numeru powoli się regulował. Motor pracował, maszyna grała. Kłopot był z benzyną. Warunki życia były przecież przyfrontowe. Co było robić? Kiedy wlałeś między wrony... Wychodziło się więc koło jedenastej przed północą na ulicę i zatrzymywało przejeżdżające wozy.

— Masz benzynę?

— Mam!

— No to dawaj parę litrów, bo gazety nie mamy na czym drukować!

Najpierw się ociągali, potem przywykli, że w tym miejscu jest drukarnia i redakcja techniczna „Życia Warszawy”, że gazeta musi wyjść, a bez benzyny nie wyjdzie, bo drukarnia jedzie na samochodowym motorze. Wpuszczało się wężyk do karnistra, pociągało zdrowy haust, spluwało i benzyna rozkosznie chlupała do naszej bańki.

Potem były kłopoty z papierem. Kiedy wyczerpało się tych kilkanaście tysięcy arkuszy, jakie drogą rekwizycji tu i tam pozabieraliśmy, zaczęła grozić katastrofa.

— Redaktorze, papier jest u Wedla! — wyrwał się ktoś.

Pojechaliśmy. Był papier, ale... pakowy.

— Redaktorze — powiada asysta drukarska — zbijemy do reszty nasze czcionki. Kamień jak cholera!

— Zbijemy, to zbijemy, ale gazeta musi wychodzić. Nie może się nie ukazać, rozumiesz, bracie kochany?

Nie wiem, czy zrozumiał, czy nie, ale przewieźliśmy pokaźny zapas na Grochowską, do Albertynów, bo tam się mieściła drukarnia. To był już trzeci format, kolor i gatunek papieru. Największy, ale najpodlejszy. Rzeczywiście lewa strona była taka szorstka, że można jej było używać

zamiast glaspapieru. Trzeba więc pomyśleć o normalnym papierze drukarskim. Ale gdzie go znaleźć? Lublin! Przecie oni tam drukują „Rzeczpospolitą”. Potężny pięcietonowy Saurer na tydzień przed Bożym Narodzeniem stanął przed bramą wjazdową i szofer zameldował się, gotowy do drogi. Zostawiłem wszystko porucznikowi i moim chłopakom, których była już ponad setka, i ruszyliśmy przy ciężkim mrozie w drogę. Trasa obstawiona „regulowszczykami” obojga płci w walonkach i baranicach minęła bez żadnych przygód i jeszcze tego samego dnia złożyłem wizytę czynnikom miarodajnym w PKWN. Najpierw poszedłem do majora Borejszy.

Usłyszałem z jego ust bardzo pochlebne zdanie o „Życiu Warszawy” i obietnicę przydziału papieru.

Odwiedziłem jeszcze ministra propagandy Matuszewskiego. Znowu parę miłych komplementów. Parę zdań na temat zadań prasy, obietnic, że możemy na każdą pomoc liczyć, i pożegnałem się. Odwiedziłem jeszcze ich drukarnię. Linotypy, kaszty z piękną czcionką, pedały, maszyny, cicho, ciepło, dość czysto. Im się dobrze powodzi.

Przenocowałem u znajomego kierownika drukarni i nazajutrz, z samochodem wyładowanym grubym żółtym papierem na wpół matowym, niby to satynowym, ale w każdym razie gładkim i drukarskim, ruszyłem z powrotem. Dali kilka ton. Bele rotacyjnego papieru wypełniły ciężarówkę pod sam brezent. Jechaliśmy z radością w duszy. Żadnych przygód poza przyjacielskim podzieleniem się „bumagą” z jakimś dowództwem po drodze, które cierpiało na brak papieru. Daliśmy, dlaczego nie mieliśmy się podzielić. Cały samochód w garści i obietnica, że będą przysyłać!

Bele musieliśmy zwyczajną piłą przecinać, potem gilotyną równać, bo na razie marzyć tylko mogliśmy, żeby była rotacja, żeby była wspañiała drukarnia, biała, jasna, z czyściutką podłogą, maszyniści w kombinezonach... Tak, tego jeszcze nie było nawet w sferze snów! A szara rzeczywistość była wiadoma. Zimno, ciemno, głodno. Minął najcięższy czas, kiedy przy niskiej październikowej i listopadowej temperaturze drukarze nocą siedzieli przy oknach bez szyb, przy karbidówkach i te dwie nieszczęsne kaszty trzymali na kolanach własnych i kolegów i po omacku niemal, żmudnie, składali długie szpalty z pojedynczych literek, a potem na maszynie ciągnionej przez kilkadziesiąt chyba mechanicznych koni tłukło się rosnący wciąż nakład. Zaraz po świętach zjawił się wśród wracających drukarzy mechanik od maszyn drukarskich. Nie pamiętam już jego nazwiska, ale niemal uściskałem go jak rodzzonego brata.

— Z nieba mi spadłeś, bo przecież mamy tu jeszcze jakiś sprzęt. Zajrzyj no temu pedałowii-automatowi do środka, czego mu brak.

Brakowało paru zębów w jakimś kole.

Zaczął zaraz energicznie pracować i wkrótce ruszył automat. Tymczasem ktoś przyniósł parę skrzynek z czcionkami. Doszliśmy na obydwu płaskich maszynach i pedale do blisko 40 000 egzemplarzy. To był już nakład!

Minął pierwszy okres szalonej, romantycznej przygody. Pracowników napływało coraz więcej. Redakcja rozrastała się. Mały lokal przy Łochowskiej, który porucznik skądś wytrzasnął, nie mógł pomieścić personelu.

Przed końcem roku pojechałem jeszcze raz do Lublina. Gazeta kręciła się już własnym rozpędem. Pomyślałem, że warto by coś zrobić, co by poruszyło kraj. Wciąż te depesze z nasłuchu, wciąż te notatki, reportażyki, opisy, sprawozdania. Miałem przywieźć następną porcję papieru, a przy okazji postanowiłem zrobić jakiś wywiad na większą skalę. Z kim by tu? Przecie w Lublinie jest nadal rząd, jest przewodniczący KRN Bolesław Bierut, może uda się z nim parę słów zamienić i na Nowy Rok wystrzelić na pierwszej kolumnie z takim szlagierem! Udało się tyle rzeczy, dlaczego to miałoby się nie udać? Ułożyłem sobie kilka pytań. Odwiedziłem prof. Wasowskiego i mówię mu o wywiadzie. Ten przeglądął spis pytań i zapronował, by ostatniego pytania nie stawiać, bo ono będzie dla Prezydenta kłopotliwe. A to było właśnie najciekawsze dla wszystkich pytanie, a dla nas warszawiaków szczególnie. Poszedłem do ministra Matuszewskiego.

— Panie ministrze, chcę zrobić wywiad z prezydentem Bierutem. Co pan o tym sądzi?

— Myślę, że nie odmówi. Proszę pójść do gabinetu Prezydenta, do pani Górskiej, ona już was skieruje, gdzie trzeba.

Gabinet Prezydenta był taki mały, że strach. No, ale cały PKWN, to znaczy wszystkie resorty w zasadzie gnieździły się wtedy w jednym gmachu. W rogu małego pokoju stało skośnie ustawione biurko. Za nim siedział Prezydent. Przedstawiłem się. Przedłożyłem pytania. Krótka pa-dały odpowiedzi. Notowałem je. Doszliśmy do ostatniego pytania. Po otrzymaniu odpowiedzi postanowiłem machnąć ręką na protokół.

— Obywatelu Prezydencie, ja mam jeszcze jedno pytanie, dla nas najważniejsze, ale tamci w biurze nie pozwolili mi go postawić.

Bierut uśmiechnął się.

— No, a co tam jeszcze chcecie wiedzieć?

— Kiedy ruszy ofensywa? — wypaliłem bez namysłu.

— No tak, to chcecie za dużo wiedzieć. To tajemnica wojskowa.

— Ale przecie trzeba ludziom dać coś na Nowy Rok!

— Możecie napisać, że już niedługo, niedługo!

Podziękowałem, wyszedłem.

Zaraz w sekretariacie usiadłem przy stoliku i ołówkiem na jakimś tam

papierze, jaki mi pani Górska podsunęła, na gorąco napisałem, com usłyszał. W ciągu kilkunastu minut wywiad był gotowy.

— Może zechce Pani dać Prezydentowi do przeczytania. Wolałbym odjechać z materiałem autoryzowanym.

Pani Górska zabrała papiery i po chwili wróciła z cyferką Bieruta. Żadnych skreśleń nie było.

Tego samego dnia wróciłem do Warszawy i dałem porucznikowi moją zdobycz. Nazajutrz wywiad ukazał się na pierwszej stronie.

Był jeszcze jeden ważny dzień w tej krótkiej historii pierwszego dziennika nowej Warszawy. 16 stycznia pojechałem do domu, żeby się porządnie wyspać. Ostatecznie wszystko już „grało”, byłem niepotrzebny. Ledwo jednak przyłożyłem głowę do poduszki — dzwonek! Jak bomba wpada kierowca.

— Panie redaktorze, Warszawa wolna, trzeba robić dodatek nadzwyczajny.

Mam do tej pory oprócz złotego numeru ten właśnie dodatek. Warszawa wolna! Litery zdaje się dwa i pół kwadrata, drewniaki blokowe. Nazajutrz byliśmy po drugiej stronie Wisły przez „pontoniak”. Chłopaki z naręczem „Życia” rozleciały się po zburzonym mieście i co chwilę rozlegało się wołanie: „Życie Warszaaaaa! — A niech cię choroba — ale pojechałem”. „Życie Warszaaaaa!” Nieliczni uciekinierzy, wracający w ten mróz, okutani w byle co, ze zdziwieniem odwracali głowy. Nie do wiary, w tych gruzach, w tych ruinach „Życie”, „Życie Warszawy”??? Gazeta!

Tak, to był urok pierwszego spotkania z miastem, które miało być zamordowane, jak zamordowano w Warszawie ćwierć miliona, jak zamordowano w Polsce 6 milionów ludzi. Wiedzieliśmy, że Warszawa będzie żyła, bo... żyje. Gazeta jest zawsze jakimś znakiem życia cywilizowanego. To nic, że dziś przekopuje się wąwozy w górach gruzu. To nic, że pod gruzami tyle jeszcze trupów. To nic, że co chwila rozlegają się detonacje spóźnionych zapłonów i wałają się ściany zburzonych domów. Do zburzonego miasta wracają jego mieszkańcy i wita ich miejscowa gazeta — „Życie Warszawy”.

*

Po rozejściu się z „Życiem Warszawy” w początku lutego 1945 r. osiadłem w BOS (Biurze Odbudowy Stolicy). Prawdę powiedziawszy „Życie” stało już na własnych nogach i niańka nie była potrzebna. Dobrze więc się stało, że otworzyły się inne nowe możliwości.

Zabraliśmy się więc do nowej roboty. Jak te gruzy przemienić w stolicę? Początkowo byli sceptycy, którzy marzyli o założeniu nowego sto-

łączonego miasta gdzieś na nowym, pustym terenie, gdzie można będzie projektować, komponować, stworzyć cudo. Całe szczęście nie było ich wielu i zostali przegłosowani. Warszawa ożyła, a raczej odzyskała przytomność po chwilowym zamroczeniu i rwała się do życia. I wcale nie zamierzała rezygnować z godności pierwszego miasta Rzeczypospolitej! Trzeba więc było zabrać się energicznie, żeby ją jako tako ogarnąć, żeby Rząd mógł się zakwaterować, żeby ruszyła komunikacja, no i to wszystko, co do normalnego stołecznego życia jest konieczne. Elektrownia, wodociągi, gazownia, szkoły, szpitale. Przede wszystkim jednak komunikacja. Wtedy wszystko było celebrowane. Wszystko odbywało się uroczystie z kwiatami, girlandami, chorągiewkami, orkiestrą, przycinaniem wstęg o barwach narodowych. Cieszyliśmy się jak dzieci, które znowu mogą ustawiać swoje zabawki i bawić się nimi. Bawiliśmy się, choć o chłodzie, w niewygodzie, często w pocie czoła. Po dziesięciu miesiącach Warszawa była już stolicą. Tramwaje kursowały, elektrownia oświecała ocalałe budynki, gaz funkcjonował, była woda, jeździły darowane nam przez przyjaciół z Moskwy trolejbusy, ustawiliśmy pierwsze osiedle, drewniane co prawda, ale ogromnie przyjemne, z fińskich domków. BOS był w tych miesiącach najważniejszą i bodaj jedyną sprawnie funkcjonującą instytucją.

Zaczęliśmy myśleć o nowym piśmie: ilustrowanym tygodniku, który by zaczął rejestrować całą tę fantastyczną historię odbudowy, jaką tylko nasz narodowy romantyzm mógł podjąć w tamtych warunkach.

Najpierw zaczęła wychodzić „Skarpa”⁴, tygodnik o dużym formacie A2, trochę mniejszym od dzisiejszego „Życia Warszawy”. Pismo było ilustrowane kreską, przeważnie projektami odbudowy. Po roku kierownictwo BOS, z którego wyłoniła się Naczelna Rada Odbudowy Warszawy i Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, popularny później SFOS, doszło do wniosku, że „Skarpa” powinna jednakże zamienić się w „Stolicę”⁵ i na 22 lipca 1946 r. wydany został próbny numer na rotograwiurze. W październiku nasz referat prasowy Wydziału Propagandy dostał polecenie przygotowania się do redagowania tygodnika. Kierownikiem referatu był wtedy red. Stefan Stok, przedwojenny korespondent PAP w Moskwie. Pracowali tam oprócz mnie Janusz Krupiński, Joanna Czyżewska i jeszcze kilka osób, których nazwisk nie pamiętam. Zespół redakcyjny „Skarpy” stanowili: inż. arch. Tadeusz Filipczak, późniejszy naczelny redaktor „Arkad”, Wanda Filipowiczowa, Katarzyna Hryniewiecka. Inż. Filip-

⁴ „Skarpa Warszawska” — tygodnik poświęcony odbudowie stolicy, wydawany od 21 X 1945 r. do 22 IX 1946 r. przez „Czytelnika” przy współudziale Biura Odbudowy Stolicy.

⁵ „Stolica” — warszawski tygodnik ilustrowany, założony 3 XI 1946 r., wydawany przez Radę Naczelną Odbudowy Stolicy.

czak i Wanda Filipowiczowa włączyli się od razu do nowego zespołu. Była jeszcze Hanna Szwankowska, która robiła korektę.

Nowy zespół, który miał redagować „Stolicę” pomyślaną jako bogato ilustrowane, ale popularne pismo tygodniowe, rodzaj kroniki odbudowy miasta, stanowili: red. Stefan Stok jako naczelny, Katarzyna Hryniewiecka jako sekretarz redakcji, Joanna Czyżewska jako sekretarka techniczna, Janusz Krupiński jako reporter, Hanna Szwankowska jako korektorka i Bohdan Skąpski jako redaktor techniczny i ilustracyjny. W ostatniej chwili doszedł inż. arch. Janusz Minorski, który miał kierować tematyką polityczną i zajmował się dodatkowo ilustracją.

W takim zespole zaczęliśmy pracę. Cała trudność polegała na kliszach. Wtedy nie było jeszcze dostatecznie wyposażonej chemigrafii, która mogłaby się podjąć wykonywania dużej ilości cynkowych klisz siatkowych w dużych formatach. Istniała już Drukarnia Państwowa nr 2 przy Tamce. Udałem się tam i zapaliłem chemigrafów do tej pracy. Pierwszy ilustrowany tygodnik warszawski — to było coś bardzo atrakcyjnego. Na pierwszej stronie, pod przysadzistym tytułem, jaki nam zaprojektował Wojciech Zamecznik, umieściłem podtytuł „Warszawski Tygodnik Ilustrowany”. „Tygodnik Ilustrowany” już w samym brzmieniu miał coś, co sięgało daleko i głęboko w warszawską tradycję. Na okładce był przedwojenny Belweder według fotografii Czesława Olszewskiego.

Półtoraroczna przerwa w czynnej techniczno-redakcyjnej pracy, brak kontaktu z maszynami i tym wspaniałym, trochę gorączkowym rytmem stałego powstawania czegoś nowego, zaczęła mnie nużyć. Reporterka w referacie prasowym to coś tak, jak podawanie słomy do sieczkarni. A ponieważ nie miałem jeszcze 40 lat i znowu tworzyło się coś nowego, coś, co miało być jakąś pierwociną odradzającego się życia w stolicy, poniosło mnie jak narowistego konia. Później, po latach, koleżanki skarżyły się, że popłakiwały sobie po kątach, bo nie mogły nadażyć: tempo było za ostre! Musiało być ostre, bo tydzień to krótki okres czasu. Harmonogram trzeba było zapiąć tak, żeby w nie swojej drukarni, choć byliśmy na prawach priorytetu, jak by to się dzisiaj powiedziało, wyjść regularnie, bez opóźnień i technicznie dobrze. Przynajmniej dobrze! Po pół roku, kiedy zmieniło się szefostwo Wydziału Propagandy i miejsce inż. arch. Heleny Syrkus zajął inż. arch. Jerzy Grabowski, mający we krwi dziennikarstwo, zrobiliśmy „zamach stanu”. Na wspólnej naradzie otrzymałem od szefa wydziału polecenie energicznego pokierowania pracą całego zespołu. Nazajutrz jako sekretarz redakcji, łącząc jednocześnie redakcję techniczną i ilustracyjną, przyspieszyłem tempo. Panie Hryniewiecka i Szwankowska przeszły do innej pracy, Janusz Krupiński i Joanna Czyżewska przyszedli do pomocy w sekretariacie i redakcji technicznej, a nadto doszła jeszcze do redakcji przed „zamachem stanu”, młoda absol-

wentka Szkoły Dziennikarskiej, protegowana naczelnego dyrektora BOS inż. arch. Romana Piotrowskiego Krystyna Krzyżakowa. Tak więc w piątkę tworzyliśmy nowy zespół. Inż. arch. Janusz Minorski przeszedł również do innych prac i w przyszłości miał razem z Katarzyną Hryniewiecką i Hanną Szwankowską utworzyć redakcję fachowego czasopisma architektoniczno-urbanistycznego „Architektura”⁶.

„Stolica” dociągnęła na Tamce do 100 numeru, wydawanego już w dubleksie, w kolorach: ultramaryna i oranż. 101 numer przeszedł do drukarni „Prasy” na Smolnej i tam dotrwał do trzeciego zespołu redakcyjnego.

Pod koniec 1945 r., a raczej na początku jesieni, zjawił się u mnie przedwojenny kolega, red. Jerzy Karbowski z PCK. Znaliliśmy się jeszcze z czasów, gdy jego żona była moją koleżanką na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Wsunął wtedy następującą propozycję. Towarzystwo Gniazd Sierocych w Krakowie prowadzi bardzo zasłużony działacz społeczny Kazimierz Jeżewski. Ma on dosyć ciekawą koncepcję opiekuńczo-wychowawczą. Zajmuje się sierotami i prowadzi taki, można powiedzieć, prywatny sierociniec. Otóż jego ideą jest tworzenie wiosek, w których wychowankowie Towarzystwa zajmowałiby się nowoczesną pracą agrarną. A ponieważ jest wielbicielem Tadeusza Kościuszki, więc nadał temu nazwę Wiosek Kościuszkowskich. Otóż on zaproponował wydanie na r. 1946 kalendarza. Ilustrowanego rocznika, w którym jest wszystko. Mnie przyszła do głowy koncepcja, żeby nawiązać do tradycji „Kalendarza Warszawskiego”, który w latach 1797 zdaje się i następnych był w Warszawie czymś bardzo popularnym. Zaproponował, bym zajął się redakcją, przygotował materiały ilustracyjne, sztychy różne, pozamawiał artykuły. Miałoby to być drukowane w Krakowie, gdzie jest siedziba Towarzystwa.

Propozycja była kusząca. Zgodziłem się. No i jak w tamtym okresie zabrałem się do pracy. Gdzieś pod koniec października, czy na początku listopada zjawił się w redakcji referatu prasowego BOS znany i wybitny artysta fotografik Jan Bułhak. Znałem od dawna jego prace. Podobały mi się ogromnie. Ucieszyłem się więc z tej wizyty.

— Z nieba pan spadł, panie profesorze — powiedziałem po obejrzeniu jego „wglądówek”. Zrobił ni mniej ni więcej tylko 800 zdjęć ruin Warszawy, wszystko w artystycznym, malarskim ujęciu.

— Panie profesorze — powiedziałem. — Mam akurat na ukończeniu „Kalendarz Warszawski”, który usiłuje nawiązać do tradycyjnego wydawnictwa o tej nazwie sprzed stu kilkudziesięciu lat. Jeżeli nie ma pan

⁶ „Architektura” — miesięcznik wydawany od 1947 r. przez ZG SARP z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki.

nic przeciwko temu, wstawiłbym tam w rotograwiurze chociaż jeden arkusz tych zdjęć, które więcej mówią o dzisiejszej Warszawie niż wszystkie opisy razem wzięte. Zostawił mi serię pięknych ujęć z różnych dzielnic zburzonego miasta. Zdążyliśmy je włączyć do „Kalendarza”.

Ktoś jeszcze przyniósł serię zdjęć odebranych Niemcom. Znalazła się jakaś laborantka, która podczas okupacji robiąc w jakimś sklepie fotograficznym odbitki niemieckim żołnierzom, co ciekawsze porobiła w dwóch egzemplarzach i tak zachowała sporo dokumentów bestialstw niemieckich, choćby tylko w Wawrze, od którego zaczęła się martyrologia stolicy, zdjęcia z ghetta, makabryczne sceny wszelkiego rodzaju egzekucji. Cały ten materiał wypełnił wkładkę rotograwiurową, bo „Kalendarz” był drukowany na typo i miał ilustracje kreskowe. Nasycony był tematyką Powstania Warszawskiego, historią minionych lat, a nawet odwoływał się do swego praojca, którego fotokopie Jerzy wyrwał z jakiegoś archiwum. Numer był bardzo warszawski, a naszpikowaliśmy go sentymentem i uczuciowością, jakie cechowały nasze ówczesne ukochanie tego zwariowanego, a tak bardzo drogiego nam miasta.

W wigilię Bożego Narodzenia 1945 r. wręczyłem pierwszy numer naczelnemu dyrektorowi BOS, inż. arch. Romanowi Piotrowskiemu, który w otoczeniu sztabu przyjmował nasze życzenia. Spotkała nas wielka pochwała.

Sto tysięcy egzemplarzy łącznie, bądź co bądź, wydrukowanej książki formatu A5, drukowanej na typo, z jednym arkuszem wkładki ilustrowanej, w dwubarwnej obwolucie z Zygmuntem z leżącej jeszcze w pyłe upadku powstańczego kolumny Zygmunta, stylizowanej przez jednego z naszych grafików, zrobiło furorę. Zresztą większą za granicą niż w kraju. Rozszalałem się wtedy z propagandą. Ulotki, naklejki w tramwajach, afisze na mieście, ogłoszenia w prasie codziennej i tygodniowej w różnych miastach, wszystko sprawiło, że nakład poszedł. Listy zaczęły nadchodzić do mojego prywatnego mieszkania, które zamieniło się w redakcję „Kalendarza”: z Bliskiego Wschodu, z Afryki, z Ameryki. Rozsiani po całej ziemi rodacy, otrzymawszy w pierwszych tygodniach 1946 r. „Kalendarz Warszawski” płakali, jak mówiły listy, ze wzruszenia. Podsycał ten rocznik tęsknotę za Warszawą i ojczyzną.

Zaczęliśmy robić drugi rocznik: 1947. Ten poszedł już słabiej. Trzeci i ostatni redagowałem z Jurkiem prawie całkowicie w Warszawie, już w lutym 1947 r., i ten rocznik był drukowany w Warszawie przy Tamce. Był bardzo barwny. Na okładce miał Syrenę na niebieskim tle w podkowie herbów miast polskich. Jako reklama poszedł mały kieszonkowy kalendarzyk, którego okładka była miniaturą „Kalendarza”. Tę efektowną wielobarwną okładkę, wykonaną już w siedmiu kolorach w offsecie, projektował Jan Mucharski. Prawie połowę stanowiły zdjęcia Marcinkow-

skiego z dawnej Warszawy. Był obszerny reportaż ilustrowany bardzo bogato autentycznymi zdjęciami powstania, zburzenia Warszawy i powrotu jej do życia. Historia zajmowała wciąż jeszcze naczelną miejsce. Wybiliśmy 20 000 egzemplarzy na rachunek Towarzystwa Gniazd Sierocych. Zastosowałem w tym roczniku moją koncepcję kalendarza jako rodzaju publikacji dziennikarskiej. Wychodziłem z założenia, że wszelka publikacja dziennikarska da się zamknąć między jednodniówką a rocznikiem, poprzez dziennik, tygodnik, dwutygodnik, miesięcznik, kwartalnik. Rocznik był podzielony na pory roku. Kalendarium było wplecione w efektowne zdjęcia przedwojennej Warszawy, bo w nowej stolicy wciąż były jeszcze cegły i gruz. Bardzo obszernie ilustrowana kronika zdjęciami Agencji Fotograficznej pokazała w szczegółowym przekroju miniony rok w życiu politycznym, ekonomicznym, kulturalnym oraz we wszystkich innych dziedzinach życia: świata, kraju i miasta. Stron miało być tyle, ile dni w roku. Ogłoszenia trochę rozepchnęły całość.

Były ilustracje płonącej Warszawy, Warszawy w walce powstańczej, Warszawy wychodzącej na wygnanie i tych nielicznych ludzi, którzy ukryci w ruinach przetrwali wszystko i wyszli na świat w pamiętne dni stycznia 1945 r. „Kalendarz” był interesujący, ale spóźniony o miesiąc nie rozszedł się tak, jak pierwszy. Po tych trzech tomach zaniechaliśmy dalszej pracy i na tym zakończyła się próba wskrzeszenia tradycji „Kalendarza Warszawskiego”.